

## Karl Dedecius – szkic do portretu

Niemiecki Boy-Żeleński. Niestrudzony tłumacz literatury polskiej na język niemiecki. Teoretyk przekładu. Przyjaciel poetów. Orędownik Polski. Pomysłodawca i organizator Deutsches Polen-Institut (Niemieckiego Instytutu Kultury Polskiej), wydawca i popularyzator literatury polskiej w Niemczech. W Polsce szerzej nieznan. Co powinniśmy o nim wiedzieć?

### 1. Człowiek

Karl Dedecius urodził się w Łodzi w 1921 roku w rodzinie niemieckiej o plebejskich korzeniach; ojciec w księdze meldunkowej Łodzi zarejestrowany został jako „rolnik i tkacz”<sup>17</sup>. Dedecius widział to tak:

Krajem rodzinnym moich przodków ze strony ojca były Czechy i Morawy w cesarstwie Habsburgów. Stamtąd, w połowie XVIII wieku jego dziadowie zbiegli przed kontrreformacją na Śląsk [...]. Setki z nich, wśród nich moi przodkowie, wyemigrowali do leżącego w pobliżu granicy śląskiego Münsterbergu pod Waldenburgiem (Ziębice pod Wałbrzychem – MD), u podnóża Sudetów<sup>18</sup>.

Na tych terenach osiedlało się coraz więcej Niemców, ściąganych tu przez króla Prus, Fryderyka II z biednej wówczas Szwabii. Od połowy XVIII do połowy XIX wieku powstało około dwustu pięćdziesięciu

---

<sup>17</sup> K. Dedecius, *Europejczyk z Łodzi. Wspomnienia*, dz. cyt., s. 12.

<sup>18</sup> Tamże, s. 13.

nowych wsi niemieckich. Robiło się ciasno, ziemi ubywało. Dziadek Dedeciusa, który mieszkał we wsi Petersgrätz/Piotrówka i był jej sołtysiem, postanowił wraz z pięcioma synami udać się na północ, gdzie ziemia była tańsza i gdzie obiecywano nowe perspektywy. Udali się do miejscowości Pożdżenica pod Łodzią – tam już zadomowiły się lutezańskie rodziny niemieckie, a w 1886 roku urodził się ojciec Karla. Rodzina ze strony matki wywodziła się właśnie ze Szwabii, skąd niektórzy mieszkańcy, zachęteni obietnicami, przenieśli się na tereny polskie, objęte przez Prusy po rozbiorach. Ale rzeczywistość nie odpowiadała obietnicom, część rodzin wróciła na stare miejsca, a część udała się dalej, do Łodzi, która po kongresie wiedeńskim znalazła się w zaborze rosyjskim i gdzie zaczynał się teraz wielki ruch przemysłowy.

Dedecius, szukając w archiwach informacji na ten temat, dowiedział się na przykład, że z Hesji – kraju, w którym zamieszkał po wojnie – w ciągu czterech lat (1834–1838) w okolice Łodzi wywędrowało aż pięćset rodzin niemieckich. W końcu XVIII wieku, czyli w momencie objęcia ziem polskich przez zaborców, Łódź była małą wsią, którą skrupulatni niemieccy urzędnicy dokładnie policzyli i spisali:

190 mieszkańców, w tym 89 mężczyzn, 90 kobiet, 11 Żydów; jeden kościół katolicki, 44 zagrody, 11 niezamieszkałych domów, 18 pustych placów, 44 stodoły. Budynki publiczne: areszt policyjny z drewna, w bardzo złym stanie, 4 studnie publiczne i 4 prywatne, jeden młyn wodny i dwa szynki, jeden w rękach plebanii, drugi w rękach domeny<sup>19</sup>.

Dwadzieścia lat później Łódź zaliczona już została w poczet miast fabrycznych; warunki geograficzne i wodne sprzyjały rozwojowi przemysłu włókienniczego.

Wszystko to sprzyjało szybkiemu osiedlaniu się przybywających z Prus, Saksonii, Nadrenii, Czech, Alzacji przedsiębiorców, takich jak Geyer, Scheibler, Biedermann, Eisert, Schweikert, Heinzel, Steinert, Kindermann, Horak, Kohn, Poznański, którzy z biegiem czasu zbudowali całe mnóstwo małych, większych i bardzo dużych manufaktur i fabryk, przyczyniając

---

<sup>19</sup> Spis za *Geheime Registratur des königlich Siedpreußischen Finanz-Departements 1793–1794*, t. IV, [w:] K. Dedecius, *Europejczyk z Łodzi*, dz. cyt., s. 17.

się do niesłychanego rozkwitu miasta [...]. W 1821 roku w 112 domach mieszkało 799 mieszkańców, a już w 1851 roku było ich 18 190 w 1014 domach – czytamy u Dedeciusa<sup>20</sup>.

Matka, urodzona w 1888 roku w rodzinie bednarza, wywodziła się ze wsi Zelów. Słabo i rzadko mówiła po polsku, a jej niemczyzna była niewymyślna i konkretna. Nikt w rodzinie nie miał czasu ani potrzeby, żeby długo i niepotrzebnie strzępić język (o podobnym zjawisku u Niemców w rumuńskim Siedmiogrodzie wspominała Herta Müller)<sup>21</sup>. Ojciec w domu rozmawiał z synem po polsku; towarzyski i muzykalny, chętnie przebywał poza domem w rozmaitych kręgach. Osiem lat spędzonych na Krymie w czasie tzw. wojny krymskiej, zresztą raczej w kancelarii pułku niż na froncie, pozwoliło mu opanować język rosyjski. Do Łodzi wrócił 17 sierpnia 1918 roku i zamieszkał przy ulicy Wólczańskiej 146, gdzie potem urodził się Karl. Został urzędnikiem policji obyczajowej: cztery języki, którymi biegle się posługiwał (czeski, niemiecki, polski, rosyjski), przydawały mu się w światku wielojęzycznej prostytucji. Matce wystarczał kościół, do którego regularnie uczęszczała, ojciec zachodził tam od wielkiego dzwonu. Wspomnienia o ojcu są u Karla obszerne i ciepłe, widać, że relacja z nim miała duży wpływ na ukształtowanie charakteru chłopca. To, co dotyczy matki, w opisie syna jest raczej nieciekawce: ponura, oschła kobieta, która nie czuła wobec niego żywszych emocji i nie miała na niego większego wpływu. Po latach powie krótko:

Po matce, która była szwabskiego pochodzenia, odziedziczyłem pracowitość. Ona też pracowała od rana do wieczora, więc tej pracowitości nauczyłem się w domu... Ojciec mój miał słowiańską fantazję. Od niego nauczyłem się miłości do sztuk pięknych, do wiedzy, do nauki. I to jest moje podwójne polsko-niemieckie dziedzictwo. Polska fantazja, niemiecka pracowitość<sup>22</sup>.

---

<sup>20</sup> Tamże, s. 18.

<sup>21</sup> Herta Müller, *Każdy język ma inne oczy*, w tomie *Król kłania się i zabija*, tłum. Katarzyna Leszczyńska, Wyd. Czarne, Wołowiec 2005 (por. uwagi na ten temat w książce M. Dąbrowski, *Tekst międzykulturowy. O przemianach literatury emigracyjnej*, Elipsa, Warszawa 2016, s. 143–145 i in.).

<sup>22</sup> K. Dedecius w rozmowie z Romanem Żelaznym pt. *Wywiad z Karlem Dedeciusem*, „Przegląd Polski” (Nowy Jork), 8.09.1988 r., przedr. [w:] *Pół wieku tłumaczenia...*, dz. cyt.,

Z tej wypowiedzi wynika prawie, że jego ojciec był Polakiem, co nie jest prawdą, ale do tej polskiej fantazji – tak trafnie, choć ironicznie opisanej przez Güntera Grassa w *Blaszanym bębenku* – przyznaje się chętnie. Ale być może bierze się to stąd, że Dedecius wychowywany był w tradycji patriarchalnej, w której łatwo kielkują postawy mizoginiczne. Jego rodowód w skrótowym ujęciu brzmi następująco:

Rodzina ojca przywędrowała do Łodzi z Sudetów, matki – z okolic Stuttgartu. Ja się urodziłem w Łodzi, wyrosłem w trzech językach. Przywiązany jestem do kultury polskiej, bo ukończyłem polskie gimnazjum w 1939 roku, niemniej jednak rodzina była niemiecka. Nie ona jedna. W Łodzi żyło 80 tysięcy Niemców, 100 tysięcy Żydów. Do nadejścia faszyzmu żyliśmy w zgodzie, rzeczywiście współżyliśmy ze sobą<sup>23</sup>.

Ta informacja wskazuje na silną obecność etnosu niemieckiego w Łodzi na przełomie XIX i XX wieku. Znamy te kwestie z *Ziemi obiecanej* Władysława Reymonta, wspaniałej, nowoczesnej i świetnie napisanej powieści, która opowiada o rodzeniu się przemysłowej Łodzi, o jej wielkości i nędzy. Pośród wielkich tego miejsca i czasu nie brakowało Niemców. Dedecius pisze, że kwestia tożsamości jako takiej nieszczególnie go zajmowała. Ważne było, co ktoś ma do powiedzenia, a nie skąd jest, jakiej jest narodowości, jaką wyznaje religię itd. Dlatego też nie preceniał później swojego doświadczenia łagrowego,

---

s. 179–180. W bardzo ciekawej rozmowie z Krystyną Chwin opowie o rodzicach nieco obszerniej: „Rodzina matki pochodziła ze Szwabii, z okolic Stuttgartu. Pamiętam ją, niezdołną do języków, ale ciągle, bez przerwy pracującą, chorowitą, chudziutką, ale bardzo sumienną w swojej odpowiedzialności za dom i rodzinę. Jej lektury to była Biblia, śpiewnik, i, rzadziej, luźne kartki, informacje kościelne. Ojciec wręcz przeciwnie. Był z natury nie tak jak matka-samotnica, towarzyski, okrągłutki, władał biegle kilkoma językami (polskim, niemieckim, rosyjskim i czeskim, jego rodzina pochodziła z Sudetów). Śpiewał, grał na gitarze. Dorobił się, jako średni urzędnik, wysokiego uznania wśród kolegów, bo był bardzo koleżeński, bez fałszu i skazy. Tak go pamiętam. A przecież był to człowiek prosty, mało wykształcony. Pochodzili razem z matką z okolic Łodzi i tam chodzili bodajże nie dłużej niż kilka lat do szkół podstawowych. Bo w ich, raczej biednych rodzinach, praca w polu i przy warsztacie tkackim domowym wymagała pomocy każdego członka rodziny, nawet małoletnich”. Zob. *Niezależność między Wschodem a Zachodem*, „Tytuł” 1993, nr 3, przedr. [w:] *Pół wieku tłumaczenia...*, dz. cyt., s. 228.

<sup>23</sup> K. Dedecius, *O Polsce, Europie, literaturze*, Wyd. Dolnośląskie, Wrocław 1996, s. 74.

uważał je za doświadczenie jak każde inne. A rozpamiętywanie go – wręcz za destruktywne<sup>24</sup>.

Rodzice Karla byli przeciętnymi mieszczanami, matka zajmowała się tradycyjnie domem, ojciec był urzędnikiem miejskim. Wnieśli ze sobą dwa języki: ojciec – czeski, matka – niemiecki, polska szkoła i otoczenie dały mu język polski. Tak więc Karl wyrastał w ścisłym otoczeniu trzech języków, które zapożyczały od siebie wzajemnie słowa, reguły składniowe i znaczenia.

Codziennym językiem, którego używałem na ulicy, w urzędach, w szkole, w czasie wolnym, w kontaktach ze szkolnymi kolegami i przyjaciółmi, niezależnie od tego, czy byli Niemcami, Żydami czy Polakami, był polski, i to nie z mojego świadomego wyboru, tylko dlatego, że poza domem było to naturalne i praktyczne<sup>25</sup>.

Ojciec, aspirujący do klasy średniej, posyłał Karla na naukę gry na skrzypcach, chociaż ten wolałby fortepian. Ale na fortepian czy nawet pianino nie było miejsca w małym mieszkanku, które zajmowali (pokój z kuchnią zastąpiony został później trzypokojowym domkiem na obrzeżach Łodzi, w dzielnicy Rokicie). Te skrzypce, a dokładniej umiejętności muzyczne ratowały mu potem życie, umożliwiały przetrwanie w trudnych okolicznościach.

W Łodzi funkcjonowało gimnazjum niemieckie, ale Karl został posłany do gimnazjum polskiego. Zdarza się czytać opinie, że był to gest niemal patriotyczny, co nie jest prawdą – po prostu opłata w gimnazjum niemieckim była dwa razy wyższa, w polskim wynosiła trzydzieści złotych miesięcznie, czyli dziesięć procent pensji ojca<sup>26</sup>. Poza tym szkoła niemiecka miała raczej charakter kupiecki, gimnazjum polskie zaś – humanistyczny, co bardziej Karlowi odpowiadało. Najpierw był to zakład Aleksego Zimowskiego, dość elitarna szkoła z językiem

---

<sup>24</sup> „Byłem i jestem zadnia, że martyrologia jest czymś destruktywnym, że chorobliwe rozpamiętywanie w ł a s n e g o losu nie ma sensu i nie prowadzi do niczego”, K. Dedecius, *O Polsce, Europie, literaturze*, dz. cyt., s. 75. Podkr. oryginalne.

<sup>25</sup> K. Dedecius, *Europejczyk z Łodzi. Wspomnienia*, dz. cyt., s. 71.

<sup>26</sup> Informacja zawarta w wywiadzie Krystyny Chwin, dz. cyt., s. 229 („Na gimnazjum niemieckie, które kosztowało dwa razy więcej, już rodziców nie było stać”).

francuskim, do której uczęszczały dzieci wielkich fabrykantów, potem na dwa lata trafił do gimnazjum im. Ignacego Skorupki, a od 1934 roku poszedł do nowego Gimnazjum im. Stefana Żeromskiego przy ulicy Ewangelickiej 13, gdzie środowisko było dość kosmopolityczne. W klasie byli Niemcy, Polacy, Żydzi, Francuzi „i nawet jeden Rosjanin”<sup>27</sup>. To były środkowe i ostatnie, najważniejsze, klasy długiej gimnazjalnej edukacji. Dedecius nie przypomina sobie żadnych nacjonalistycznych zachowań (poza jednym przypadkiem kolegi, który uparcie nawoływał do odebrania miast kresowych). Swojej szkole wyda po latach bardzo pochlebne świadectwo:

Łódzkiej szkole przede wszystkim zawdzięczam wychowanie do współżycia i współpracy z ludźmi różnych narodowości, różnego wyznania, różnego pochodzenia, różnych poglądów. Łodzi zawdzięczam również naturalny stosunek do pracy, do codziennych obowiązków i codziennej odpowiedzialności. (Do tej pory nie znoszę nieróbstwa i brakoróbstwa)<sup>28</sup>.

Kulturotwórczą rolę tego gimnazjum chwali przy każdej okazji. Maturę uzyskał w 1939 roku, w maju, na trzy dni przed swoimi osiemnastymi urodzinami (te przypadały 20 maja; na świadectwie maturalnym „same nieśmiałe trójczki”<sup>29</sup>).

Potem pojechał nad morze, na Hel, gdzie spędził beztrudnie kilka tygodni jako kronikarz szkolnego obozu, nie przeczuwając nawet, że za chwilę zostanie powołany do służby wojskowej; napięcie międzynarodowe gwałtownie rosło. I stało się: najpierw został wcielony do polskich Junackich Hufców Pracy i trafił pod Łomżę, gdzie miały powstać bunkry (blisko granicy Prus Wschodnich z Polską), skąd wszyscy uciekli 1 września i po kilkunastu dniach wędrówki dotarli pod Lwów. Od dowódców dostali po pięćdziesiąt złotych i błogosławieństwo na drogę. Ale miasto zostało właśnie zajęte przez Rosjan.

<sup>27</sup> K. Dedecius, *Europejczyk z Łodzi*, dz. cyt., s. 44.

<sup>28</sup> K. Dedecius, *O Polsce, Europie, literaturze*, dz. cyt., s. 96; w późniejszym wydaniu tego tekstu zdanie z nawiasu uzupełnił o słowa „u siebie”, widocznie to pierwotnie wydało mu się po latach zbyt aroganckie.

<sup>29</sup> Tamże, s. 95.

Rozformowani, pojedynczo, w małych grupkach szukali sposobu na przetrwanie. Wielu uciekało na południe, do Rumunii, Dedecius wraz z grupą kolegów wszedł jednak do Lwowa, gdzie niefortunnie zachował na żółtaczkę; zaopiekowała się nim serdecznie rodzina, którą określa literą F., „matka i dwie córki”<sup>30</sup>. Późną jesienią, ozdrowieniec, wraz z trzema znajomymi wychodzi ze Lwowa i kieruje się na zachód. Pierwsza wojenna jesień, jeszcze chaotyczna, pozwoliła mu dotrzeć do Łodzi (nie bez dodatkowych przygód, łącznie z pobytem w szpitalu bodaj w Zamościu – sam dokładnie nie wie, czy to było to miasto – w związku z nawrotem choroby).

Na Rokiciu, gdzie mieszkali, w domku wybudowanym w 1933 roku, otoczonym polami uprawnymi, było idyllicznie i tylko słabnąca, chora na raka matka zakłócała ten obrazek. No i zmiany: ojca zdegradowano do poziomu zwykłego kancelisty, który segregował pocztę, nazwa Litzmannstadt zastąpiła Łódź, towarzystwo klasowe zostało rozbite, Dedeciusowie znaleźli się na liście volksdeutschów. Karl zgłasza się do odpowiednich urzędów, otrzymuje nowe świadectwo tożsamości, zaliczony zostaje do Arbeitsdienst (Służba Pracy) i skierowany do miejscowości Tropawa nad Opawą (geograficznie na Śląsku austriackim); zrzędzeniem losu chodzi tam po śladach swoich przodków ze strony ojca.

Ta praca zakończyła się pod koniec 1940 roku. „Na początku stycznia 1941 musiałem się zgłosić do 4. Kompanii 3. Batalionu Uzupełniającego 8. Pułku Grenadierów 3. Dywizji Piechoty we Frankfurcie nad Odrą” – pisze we *Wspomnieniach*<sup>31</sup>. Także teraz matura i umiejętności muzyczne ułatwiły mu ten pobyt, nie miał powodów, by się skarżyć. Ale sytuacja na froncie zaczynała się zmieniać: „Mój czas ochronny dobiegł kresu. [...] Kandydaci na oficerów zostali szybko przeszkoleni, potem odbyły się wielkie manewry na poligonie, jak w warunkach polowych, i koniec, i w drogę”<sup>32</sup>. W 1942 roku, w lecie, jako żołnierz Wehrmachtu, został wysłany na front pod Stalingrad. Patrzył na to, co się tam działo, widział załamywanie się niemieckiego impetu. Nie doczekał tragicznego

---

<sup>30</sup> K. Dedecius, *Europejczyk z Łodzi. Wspomnienia*, dz. cyt., s. 85.

<sup>31</sup> Tamże, s. 118.

<sup>32</sup> Tamże, s. 124.

przełomu, ponieważ w wybuchu granatu 1 lutego 1943 roku został ranny, ogluszony, wzięty do niewoli (jeden z dziewięćdziesięciu tysięcy) i jako jeniec pozostał w Związku Radzieckim aż do 1949 roku. Zwolniony 31 grudnia tegoż roku wyjechał do Niemiec, najpierw do Weimaru w strefie rosyjskiej, gdzie czekała na niego szkolna jeszcze miłość, naręczona Elvira Roth, z wykształcenia stenotypistka<sup>33</sup>. Okazało się, że matka zmarła w 1942 roku, a ojciec zaginął w roku 1945 w nieznanych okolicznościach. Potem się wydało, że został zamordowany przez Polaka z tej samej ulicy w ramach jakiegoś tajemniczego odwetu (ostatecznie przed wojną pracował w środowisku półświatka obyczajowego, więc mógł mieć wrogów), a domek zasiedliła polska rodzina. Warto na marginesie zauważyć, że z podobnego doświadczenia Henryk Grynberg zrobił niemal międzynarodowy skandal, a historia żydowskiego ojca zamordowanego przez podlaskiego chłopca dla materialnych korzyści stała się jednym z głównych wątków jego twórczości<sup>34</sup>. Dedecius nie rozpamiętywał śmierci swojego ojca. Przyjął to do wiadomości wraz z całym rachunkiem krzywd, jakie wojna wywołała po obu stronach frontu. Bardzo późno pojawił się ten wątek w wywiadach, zresztą inicjowany raczej przez polskich rozmówców niż samego Dedeciusa. On mówił tylko, że został sam i nie mając bliskiej rodziny w Polsce, po uwolnieniu z łagrów zdecydował się wyjechać do Niemiec. Znalazł pracę, najpierw w Erfurcie jako wolontariusz w krajowym urzędzie finansowym, ale równocześnie interesował się teatrem (po maturze planował rozpoczęcie studiów teatralnych w Warszawie) i od 1951 roku związał się z Deutsche-Theater-Institut (Niemiecki Instytut Teatralny) w Weimarze, którym kierował profesor Maxim Vallentin, także były jeniec sowiecki. Zatrudniony w dziale wiedzy o teatrze, zajmował się systemem gry aktorskiej Konstantego Stanisławskiego i w ogóle teatrem rosyjskim, tłumaczył na niemiecki rosyjskie teksty dotyczące teatru. Jak pisze, wydawał miesięcznik „Dramaturgie und Schauspielkunst” (Dramaturgia i sztuka aktorska), firmowany

<sup>33</sup> „Jak po dziesięciu latach oddalenia, absencji, abstynencji pisze antybohater-Odyseusz do jeszcze-nie-żony Penelopy? Jakimi słowami, w jakim języku”, tamże, s. 171.

<sup>34</sup> Por. Henryk Grynberg, *Dziedzictwo*, Aneks Publishers, Londyn 1993.

przez Instytut. Z Elvirą, która po wojnie była nauczycielką w szkole podstawowej w Kranichfeld, pobrali się w lutym 1950 roku, na świat przyszła córka Octavia (1951) i syn Clemens (1953, zm. w 2007 r.). Jednak wobec postępującej stalinizacji kraju, w grudniu 1952 roku uciekli najpierw do Berlina Zachodniego (gdzie na świat przyszedł Clemens), a potem do Niemieckiej Republiki Federalnej (jeszcze nie było osławionego muru berlińskiego). W Rambergu, blisko granicy z Francją, mieszkali przez rok u niejakiego Arnolda Beila, którego Dedecius wybawił z pewnego kłopotu w obozie jenieckim; Beil z wdzięczności dał im na początek dach nad głową i ułatwił urzędnicze procedury, których pokonanie wcale nie było łatwe. Po roku zamieszkali w Landau. Karl szukał dla siebie stałego zatrudnienia, pisał liczne podania. Pracował jako korektor w „Pfälzer Tageblatt” (Dziennik Pfelzerski), ostatecznie wylądowali we Frankfurcie nad Menem, gdzie w 1953 roku znalazł zatrudnienie w Allianz Versicherung A.[ktien] G.[esellschaft] (Ubezpieczenia Allianz. S.[półka] A.[kcyjna]), w dziale organizacji. Na początku były dwuletnie pobyty w biurach Allianz w Ludwigshafen i Heilbronn, dopiero w 1958 roku rodzina osiadła na stałe we Frankfurcie nad Menem<sup>35</sup>. Zajęcie Dedeciusa zapewniało jej stabilizację materialną<sup>36</sup>. Pracował tam dwadzieścia pięć lat, obejmując coraz wyższe stanowiska: w 1958 roku dyrektora okręgu, w 1960 roku – dyrektora działu prasy, reklamy i szkoleń.

Specjalnej uwagi domaga się okres jeniecki, w istocie łagrowy. To słowo, choć formalnie poprawne, faktycznie nie odpowiada w tym wypadku powszechnym konotacjom. Dedecius we wspomnieniach nie przytacza żadnych dramatycznych historii z tego czasu. Owszem,

---

<sup>35</sup> „I była to jedyna firma, jedyna spośród kilkudziesięciu, która pozytywnie odpowiedziała na moje podanie”, *Europejczyk z Łodzi*, dz. cyt., s. 191. O tej pracy mówi krótko w rozmowie z Krystyną Chwin: „Z Weimaru wędrowaliśmy do Landau w Palatynacie, potem do Ludwigshafen, potem do Heilbronn, potem do Frankfurtu”, dz. cyt., s. 229.

<sup>36</sup> „W ciągu dwudziestu pięciu lat pracy w Allianz mogłem „mimoходом” publikować książki, wygłaszać odczyty, mieć radiowe prelekcje oraz zamieszczać artykuły w czasopiśmie. Może to budzić podejrzenie, że zawód, który zapewniał mi chleb, był dla mnie synekurą. Kto jednak zna nasze życie gospodarcze, wie, że nikomu ono niczego nie daje w darze, a stawia człowiekowi wielkie wymagania” – pisze gwoli wyjaśnienia, zob. K. Dedecius, *Europejczyk z Łodzi. Wspomnienia*, dz. cyt., s. 195.

były wyniszczające choroby, jak na początku tyfus, grzebanie zmarłych kolegów, przeżywanie upadku wielkiego mitu niemieckiego – to tak. Ale osobiście Dedecius zawsze znalazł bratnią duszę, która pomogła mu przetrwać najgorsze: a to lekarkę, która otoczyła go opieką w czasie choroby, a to „kulturnaczalnika”, który zatrudnił go jako tłumacza, instruktora kulturalnego i muzyka.

Komendanta, rozumnego człowieka, udało mi się przekonać do tego, by malarzy, grafików, grawerów i snycerzy zwolnić od ciężkiej pracy fizycznej i zatrudnić w obozie w ich zawodach; [...]. Dla innych zainteresowanych stworzyliśmy kursy językowe, grupę śpiewaczą, kółko literackie – popularność kulturnaczalnika rosła, kultura w obozie przeżywała swój boom, a życie nabrało trochę kolorów<sup>37</sup>.

*Nicht schlecht.* Możliwe, że jeńcy niemieccy byli przez Rosjan traktowani inaczej niż na przykład polscy czy więźniowie rosyjscy; ich świadectwa pełne są opisów brutalności, poniżenia i pogardy. U Dedeciusa nie ma takich akcentów. Czy ich naprawdę nie było? Trudno uwierzyć, wobec świeżej pamięci Stalingradu. Wprawdzie Niemcy i kultura niemiecka cieszyły się w Rosji niezmiennym szacunkiem i uznaniem, wielu Niemców robiło tam kariery polityczne, medyczne i wojskowe za czasów caratu, nie mówiąc o samej Katarzynie Wielkiej, niemieckiej przecież z pochodzenia księżniczce, ale czy to mogło mieć znaczenie dla służb łagrowych? A może po prostu empatycznemu zachowaniu samego Dedeciusa, jego umiejętności wykorzystania własnych talentów i cech charakteru należy przypisać fakt, że życie w łagrach nie było dla niego specjalnie ciężkie. Przebywał najpierw w miejscowości Michajłowka, potem Iwanowo, a na końcu w Rostowie nad Donem, pracował przy budowie kanału Wołga–Don, łącznie siedem lat. Zajmował się a to buchalterią, a to organizowaniem orkiestr, grą na różnych instrumentach, przygotowywaniem imprez obozowych, służył doraźnie jako tłumacz – wiódł całkiem znośne życie i w duchu, który był mu właściwy. Uczył się języka rosyjskiego, próbował tłumaczeń, rozwijał swoje talenty muzyczne; zwłaszcza opanowanie języka miało mu się

<sup>37</sup> K. Dedecius, *Europejczyk z Łodzi*, dz. cyt., s. 153.